

## **OSTATNIE OFIARY STALINIZMU W POLSCE W OKRESIE STANU WOJENNEGO 1981-1983 I ICH OBRÓŃCY**

---

**Wywiad z Grażyną PYTLAK  
przeprowadzony przez Grzegorza Kaczorowskiego  
w Gorzowie Wielkopolskim, dn. 23 czerwca 2008 roku**

Nazywam się Grzegorz Kaczorowski, jestem ankieterem Fundacji KOS, która prowadzi badanie zatytułowane „Ostatnie ofiary stalinizmu...” i „Ocalmy od zapomnienia”. Celem badania jest zebranie świadectw osób będących ofiarami represji w okresie 1945- 1989, ze szczególnym uwzględnieniem okresu stanu wojennego. Ponieważ nasza praca ma charakter dokumentacyjny, nasza rozmowa będzie rejestrowana za pomocą dyktafonu oraz kamery.

**Czy mogłaby się Pani przedstawić?**

Nazywam się Grażyna Pytlak. Urodziłam się w Poznaniu razem z bliźniaczą siostrą.

**Kiedy?**

2 kwietnia 49 roku.

**Chciałbym porozmawiać z Panią chwilę na temat historii Pani rodziny: kim byli Pani rodzice, jaki wykonywali zawód, gdzie pracowali?**

Moi rodzice przyjechali tutaj do Gorzowa w 45 roku. Można podać nawet ścisłą datę, to był 15 sierpnia 45 roku i od tego czasu już stąd nie wyjeżdżali. A przyjechali z Kolbuszowej w dawnym województwie rzeszowskim. Wojnę przeżyli: mama z trójką starszego rodzeństwa przeżyła w Kolbuszowej, a ojciec został wywieziony na roboty do Niemiec i w 45 roku wrócił do domu.

**Czym się zajmowali rodzice?**

Mama była położną, a ojciec był rzemieślnikiem, szewcem. I taki zawód wykonywał aż do emerytury pracując bądź to w warsztacie prywatnym (miał swój warsztat), bądź to przez dłuższy czas w jednostce wojskowej jako pracownik wyposażenia wojska.

**Czy rodzice byli zaangażowani w jakąś działalność społeczną, polityczną?**

Nie można tak powiedzieć, ponieważ z jakimiś formacjami konkretnymi nie byli związani, natomiast mama miała swój udział we współpracy z Armią Krajową w okresie wojny. Była położną, więc różnego rodzaju świadczenia medyczne wchodziły w grę,

także materiały opatrunkowe, jakieś takie rzeczy. Ale mama o tym nie mówiła zbyt dużo.

### **Czy Pani rodzice byli w PZPR, ZSL, SD?**

Nic podobnego. Nie byli. Uważali, że Polsce stała się po wojnie krzywda, że Polska jest krajem niesuwerennym, i że wolność jest jeszcze przed Polską.

### **Mogłaby Pani wskazać jakieś wartości, które były szczególnie ważne w rodzinie?**

To była przeciętna praktykująca katolicka rodzina, jakkolwiek nie przesadzająca w praktykach, ale bardzo respektująca system wartości. Nie było myślenia podwójnego, krętackiego. Po prostu moi rodzice byli jednoznaczni i na pewno bardzo mądrzy.

### **Przyjdźmy teraz do tematu Pani działalności społecznej i opozycyjnej: czy należała Pani do jakichś organizacji społecznych (młodzieżowych czy kościelnych)?**

Swój pierwszy kontakt w zorganizowanej grupie nawiązałam podczas studiów z duszpasterstwem akademickim.

### **W Gorzowie?**

Najpierw w Zielonej Górze, a później w Gorzowie. Tam oczywiście toczyła się nieustanna dyskusja na temat materializmu i jego opozycji wobec katolicyzmu. To były takie początki. Później w Gorzowie zawiązało się duszpasterstwo akademickie. Na czele tego duszpasterstwa stanął ksiądz Witold Andrzejewski, który jest synem też Witolda Andrzejewskiego, który zginął w Katyniu. Konkretnie chyba nie w samym Katyniu, ale związany [był] ze zbrodnią katyńską. Ja o tej zbrodni wiedziałam od początku. U mnie w domu nigdy takich rzeczy się nie ukrywało i też nie mówiło się, że należy prezentować sobą jakąś podwójną prawdę, że ja coś innego wiem w domu, coś innego wiem na zewnątrz.

### **Czym się Pani zajmowała po liceum?**

Studia w Zielonej Górze. To była Wyższa Szkoła Inżynierska. Później duszpasterstwo akademickie już w Gorzowie. Tam chodzili różni ludzie, także absolwenci. W Gorzowie w zasadzie była wtedy tylko jedna wyższa szkoła i to nie gorzowska, a poznańska. To była filia Akademii Wychowania Fizycznego. Tak nawiasem mówiąc to była szkoła, z której wychodziło szczególnie dużo funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa i bardzo dużo ich pracowało w Gorzowie. To byli ludzie nam skądinąd znani, także z tego duszpasterstwa, gdzie przychodzili nie koniecznie dla własnego rozwoju.

### **Jak by Pani mogła scharakteryzować to duszpasterstwo akademickie? Czym [ono] było dla was?**

To było zupełnie niezwykle w tamtych czasach miejsce, bo tam przejęliśmy od razu jakiś projekt, jakiś program rozwoju, samorozwoju. Wobec tego były tam zajęcia i z filozofii, i z historii Polski prowadzone przez pana Przemysława Fenrycha ze Szczecina,

to był doktorant historii, związany też z duszpasterstwem akademickim. Ponadto ks. Andrzejewski zapraszał różnych fajnych ludzi.

### **Jakie to były mniej więcej lata?**

To był 72-3 rok, od 73 do stanu wojennego. Oczywiście w miarę jak byłam coraz starsza, to ten mój związek z duszpasterstwem się rozluźniał, bo jednak to było przeznaczone dla młodzieży uczącej się czy studiującej. Ale ponieważ zaczynaliśmy tutaj wszystko razem [jako] młodzi ludzie, to razem się starzeliliśmy i razem nam stało pasowało to duszpasterstwo w grupie tych najstarszych, właściwie młodzieży, która zorganizowała to duszpasterstwo, bo to nie było tak, że ktoś nam to zrobił. Myśmy sami sobie tego księdza znaleźli, a ksiądz jest niezwykle barwną postacią. Niezależnie od kontekstu historycznego swojej rodziny, on wcześniej był aktorem w gorzowskim teatrze i znaleźliśmy go jako aktora. Później zniknął w seminarium na kilka lat, a potem pojawił się już jako wikary nie taki najmłodszy, ale za to bardzo intrygujący, chociażby z jakiegoś motywu, który skierował go do seminarium z tego teatru. Dla młodzieży to była bardzo intrygująca postać, a poza tym miał w sobie to coś, że skupiał wokół siebie młodzieży, i to nie kilka [czy] kilkadziesiąt osób z młodzieży, tylko co najmniej kilkaset. To było bardzo dynamiczne duszpasterstwo i ono bardzo szybko przeszło do takiego myślenia o Polsce. Już w 76 roku, po Radomiu, jak zaczęły się tworzyć te wszystkie organizacje niepodległościowe, jak już działał KOR, KPN, Młoda Polska, to całe to towarzystwo stało przejeżdżało przez nasze duszpasterstwo. Myśmy tych ludzi sami zapraszali, braliśmy udział w jakichś dyskusjach, czytaliśmy, kolportowaliśmy wszystko, co było, wszystko łącznie z literaturą zagraniczną. Ksiądz miał swoje dojścia; no więc [była] literatura paryska czy choćby wydawnictwo pallotyńskie. Nie było takiej bibuły, której my byśmy nie mieli, po prostu nie było. Wszystko co się ukazywało w Polsce oraz za granicą było w Gorzowie i myśmy to wszystko pochłaniali. Oczywiście nie wszyscy. Była taka grupa ludzi bardziej wtajemniczonych, których ksiądz zaprosił do współpracy i to już była jakaś forma konspiracji, bo my przecież tej bibuły na zajęcia nie braliśmy. Był zorganizowany sposób kolportażu, kontaktowania się, czy nawet zbierania pieniędzy. Wiadomo było kto robi i co robi, ale ja nigdy nie wnikałam w ten mechanizm. Wiedziałam skąd mam wziąć i komu oddać, i to mi zupełnie wystarczało. Wiedziałam, że są też inni tacy. Natomiast organizowaliśmy też różne otwarte spotkania z tymi ludźmi, którzy przyjeżdżali do nas z Polski, jak choćby z panem Andrzejem Czumą. Wtedy on się nie krył ze swoją działalnością, a myśmy się nie kryli z tym, że się z nim spotykamy. Pamiętam tu Szeremietiewa, Aleksandra Hala, Moczulskiego, przeróżne osoby.

### **Można powiedzieć, że duszpasterstwo akademickie w sposób naturalny zaowocowało działalnością opozycyjną?**

Tak, można tak powiedzieć. Mieliśmy już także pierwsze próby represji, dlatego że w momencie jak to duszpasterstwo się pojawiło, to bezpieka zaczęła się nami wszystkimi bardzo interesować. Już mieliśmy różne historie związane z tym, że oni nas obserwowali, że [gdy](jak zawsze) byli jacyś wybitni rekolekcjoniści, to oni zawsze

demonstracyjnie ustawiali te swoje wołgi przed duszpasterstwem, żebyśmy się bali. Prawdopodobnie o to chodziło.

### **A duszpasterstwo było w katedrze?**

Nie, była tak kaplica na Chodkiewicza. Teraz tam jest postawiony nowy kościół, a ta kaplica pełni funkcję chyba plebanii albo czegoś takiego. A wtedy była na dole kaplica, a u góry były mieszkania (dwa czy trzy), i w jednym z tych mieszkań mieszkał ks. Andrzejewski. Był wydzielony osobny lokal. Zresztą tej młodzieży się tyle kręciło, że żadna plebania by tego nie zniosła. To byłoby ze szkodą dla wszystkich księży, bo niekoniecznie każdy musiał mieć taki entuzjazm do współpracy z młodzieżą jak ks. Andrzejewski. Ale był tam też ks. Milik, bardzo historyczna postać w rozwoju Kościoła. On w momencie, jak komuniści doprowadzili [do tego], że administrator apostolski z Gorzowa musiał się w zasadzie ukrywać, to on pełnił funkcję tego administratora. Bardzo piękna postać w historii Kościoła. I on to znosił chyba dzięki temu, że nie dosłyszał. Bardzo sympatycznie nas tam zawsze traktował i dzięki temu myśmy mu tak bardzo nie przeszkadzali. A potem przyszło lato 80 roku i duszpasterstwo swoim zwyczajem wyjechało na pielgrzymkę warszawską, bo jeszcze nie było pielgrzymek gorzowskich. Myśmy co roku chodzili z tą warszawską. A potem mieli jakiś obóz, [na którym] ja nie byłam. Pracowałam już i to nie było takie proste, żeby sobie wziąć urlop kiedy się chciało. I miałam taką przygodę podobną do tej, w której jestem teraz. Też wczesną jesienią bardzo poważnie złamałam nogę. Na moich oczach coś się działo, pamiętam te wszystkie informacje z Gdańska, stąd, stamtąd, ze Szczecina. W Polsce się gotowało, a ja zagipsowana. No więc siedziałam w domu zupełnie wytrącona z równowagi, mimo tego że mi koledzy i koleżanki przynosili różne papiery, żebym poczytała. Jak już zaczęłam stawać na tej nodze, to powędrowałam do Solidarności i tam z poduszczenia ks. Andrzejewskiego oni uznali, że najbardziej to ja bym się im przydała w redakcji. No i tak rzeczywiście jakoś to wyszło, że w krótkim czasie byłam szefową wszystkich wydawnictw jakie wychodziły w Gorzowie w Regionie.

### **Jakie to były wydawnictwa?**

To był taki dwutygodnik „Solidarność Gorzowska” i takie szybkie pisma, one najpierw się nazywały „Wiadomości Dnia”, a później „Echo”. One się ukazywały kilka razy w tygodniu, niekiedy nawet codziennie. Ta „Solidarność Gorzowska” miała nakład 12 tys., a „Wiadomości Dnia” czy „Echo” to nakład był 3-4 tys., a nawet lepiej. To moje pisarstwo było na tyle bulwersujące [dla] bezpieki i Komitetu przede wszystkim, że z tego powodu oni założyli swoją wewnątrz partyjną gazetkę (nazywała się „Nasze Sprawy”), gdzie odprawiali ze mną polemiki, tzn. oni tłumaczyli swoim co ja mam za uszami. I jak później przyszedł grudzień, to oczywiście byłam w kolejce jedna z pierwszych. W związku z tym w nocy, jak wszyscy porządni ludzie, zostałam zamknięta.

### **Jeszcze zanim przejdziemy do stanu wojennego chciałbym się zapytać, czy w tym okresie „karnawału Solidarności” mieszkała Pani tutaj w tym mieszkaniu?**

Tak, mieszkałam już tutaj, a na wprost mnie jest blok, w którym mieszkało dowództwo Służby Bezpieczeństwa, czyli naczelnik wydziału śledczego, jego zastępca i paru

innych panów. A drzewo, które nam bardzo ładnie zasłania ten widok, wtedy było jeszcze malutkie i nie zasłaniało niczego. Więc sytuacja była, powiedziałabym pod latarnią, ale nie mówię, że tam było najciemniej. Tak że ci panowie bywali tutaj często po powrocie z internowania, wcześniej nie.

**Czy do stanu wojennego zdarzały się przypadki represji, czy miała Pani tę świadomość...?**

Tak, naturalnie. Tutaj bezpieka wszczyniała różne awantury, głównie przeciwko ks. Andrzejewskiemu i temu duszpasterstwu. Pamiętam taką historię, kiedy rozsyłali pisma anonimowe, w których informowali tych ludzi, którzy chodzili do duszpasterstwa, że np. „ks. Andrzejewski ma kochanki” albo „ks. Andrzejewski jest homoseksualistą”. Były różne wersje jego nadużywania szóstego przykazania. Ale tutaj elegancko zachowywał się proboszcz ks. Andrzejewskiego, bo on o tym mówił na kazaniu: „Proszę bardzo, takie tu donosy przychodzą, anonimy.”. Po prostu ten proboszcz stawał publicznie po stronie tego duszpasterstwa i ks. Andrzejewskiego, który naprawdę był i jest stuprocentowo solidnym człowiekiem. A poza tym jakieś głuche telefony. Ja nie miałam w domu telefonu, dopiero po 15 latach (słusznego zresztą) oczekiwania, doczekałam się na telefon w 80 latach. Innych gnębiono jakimiś nocnymi telefonami, straszaniem, czymś takim. Mieliśmy z tą bezpieką sporo kłopotu.

**Czy Pani nie obawiała się o losy rodziców? Nie wiem czy Pani wtedy mieszkała sama?**

Mieszkałam z mamą, ojciec już nie żył, bo ja do tego duszpasterstwa gorzowskiego dołączyłam krótko po śmierci mojego ojca. Mama była na emeryturze, więc tego rodzaju represje już [jej] nie dotyczyły. Pod znakiem zapytania stała moja kariera zawodowa. Ja byłam inżynierem. Pracowałam w biurze projektów, ale w biurze projektów trzeba po prostu pracować. Tam się nie żyje z gadania tylko z pracy. Całkiem dobrze mi szło, jakkolwiek wiedziałam, że angażując się w jakąkolwiek polityczną opozycję ja nie mam szans zostać kierownikiem pracowni czy zrobić jakiś szybki awans. To było wykluczone. Ja sobie zdawałam z tego sprawę i brałam to pod uwagę. To nie było [tak], żebym się z tego powodu skarżyła, bo ja byłam dorosła i wiedziałam co robię. I wydawało mi się, że to jest drugorzędna sprawa. Trzeba pracować, żeby żyć. Natomiast muszę powiedzieć, że nigdy nie miałam też żadnych propozycji, żeby przystąpić np. do PZPR. To w środowisku ludzie wiedzieli, że do mnie takich rozmów się po prostu nie kieruje. To byłoby śmieszne. Takich propozycji nie miałam, ale zdawałam sobie sprawę, że tutaj ewentualnie nie mam co liczyć na jakąś zbyt błyskotliwą karierę zawodową, ale to mnie zupełnie nie zbijało z tropu.

**Przeszliśmy zatem do stanu wojennego. Mieszkała Pani tutaj. Pracowała Pani w biurze projektów. Jaki był Pani stan cywilny wtedy?**

Ja byłam sama. Wtedy już pracowałam w Solidarności, bo byłam oddelegowana do pracy w Solidarności. Po wyborach ustalono, że ja będę kierowała redakcjami, ale pracując w Solidarności, a nie w ten sposób jak wcześniej, że pracowałam w biurze projektów i w redakcji, bo to było ponad siły. A poza tym to był ogromny ruch, wymagał

tyle pracy redakcyjnej i takiego uważnego śledzenia tych wszystkich wydarzeń, że to nie można było tak z doskoku. To trzeba było być przy tym wszystkim.

### **Musiała Pani zostawić zawód.**

Zostawiłam na zasadzie oddelegowania do pracy związkowej.

### **Czym było dla Pani wprowadzenie stanu wojennego? Jakie skutki przyniosło?**

To, że coś się wydarzy, to myśmy wiedzieli. To nawet wynika z moich publikacji przed stanem wojennym. Wiadomo było, że nam coś zrobią, tylko nie było dokładnie wiadomo co i kiedy. Oczywiście można było się spodziewać różnych scenariuszy, także inwazji zaprzyjaźnionych armii bratnich. Szczególnie tutaj na granicy zachodniej koledzy zza Odry, jakkolwiek niemiłe widziani, byliby tu może pierwsi. Mieliśmy tu także nieopodal Gorzowa, w Wędrzynie całą jednostkę wojsk radzieckich. I wiadomo było jak to się potoczy, wiadomo było, że to będzie jakoś strasznie, dlatego że władze przecież nieustannie (nieustannie!) wymyślały jakieś prowokacje. Nie było możliwości, żebyśmy mogli się zająć jakąś przyszłością czy myśleniem o tym, co będzie jutro, bo wiadomo było, że dzisiaj oni wymyślą coś nowego, jakąś kolejną awanturę. I wiadomo już było, że oni nie mają zamiaru dotrzymywać żadnych zapisów porozumienia, że nie mają zamiaru respektować Wolnych Związków Zawodowych, i że Solidarność im się nie podoba i będą dążyli do jej zlikwidowania. To było dla mnie jasne. Najpierw nas zwieźli do Wawrowa, do zakładu karnego w Gorzowie. I w momencie jak oni nas pozamykali, wtedy w nocy, i zobaczyłam te kilkadziesiąt osób z Zarządu, to tak mi się wydawało, że po prostu zrobią nam bardzo przykry numer albo będziemy długo siedzieć w więzieniach i jakoś zdławią tę Solidarność. No i tak próbowali rzeczywiście.

### **Proszę opowiedzieć o okolicznościach zatrzymania.**

W nocy przyszło tutaj czterech drabów i powiedzieli, że mam się ubierać i to wszystko. No to się ubrałam.

### **Co się wydarzyło po zatrzymaniu w Wawrowie?**

Na drugi dzień, 13. w niedzielę wsadzili nas do więźniarki i zawieźli do Poznania na Młyńską. Najpierw było nas cztery. Po drodze dosadzili nam do tej więźniarki pięć pań i tak nas zawieźli. W sumie z Gorzowa było 10 dziewczyn na Młyńskiej.

### **Byliście w Wawrowie razem czy w osobnych celach?**

Nie, najpierw byłyśmy razem we cztery: pani Łżykowska, Hejmanowska, Szlachciuk i ja. Później po drodze dowieźli panią Marię Tężycką, a potem była jeszcze Basikiewicz, Wiśniewska, Ania Marczyk, Teresa Klimek i jeszcze jedna pani z telekomunikacji, ale ona bardzo szybko wyszła. Ona nie była działaczką Solidarności. Przymknęli ją chyba z jakichś innych powodów, być może właśnie dlatego, że była z telekomunikacji. Wypuścili ją jeszcze przed Bożym Narodzeniem. Wszystkie byłyśmy z Solidarności, a kilka z nas znało się z duszpasterstwa, m.in. to była pani Wiśniewska, Tężycka, Basikiewicz, Marczyk, ja. Te pięć pań się znało z duszpasterstwa akademickiego.

## **Co było dalej po Młyńskiej?**

Po Młyńskiej 10 stycznia przewozili nas do Gołdapi. Po drodze za Olsztynem więźniarka spadła z nasypu i tak się nieszczęśliwie zdarzyło, że oberwałam. Oberwałam w czasie tego wypadku i byłam przewieziona do szpitala więziennego w Barczewie.

## **To znaczy co się stało?**

Uderzyłam się mocno, straciłam przytomność. Okazało się, że miałam poważne obrażenia. Lekarze [na] to mówią stłuczenie mózgu. To jest gorsze niż wstrząśnienie mózgu, ponieważ jak się później okazało, skutki tego niestety zostały aż do dzisiaj. Nie dało się tego wyleczyć, zresztą nikt mnie nie leczył. Zawieźli nas do tego szpitala, bo jeszcze jedna pani była z Wielunia, położyli do łóżka, na szczęście normalnego, nie takiego więziennego. No i tam żeśmy leżały dwa tygodnie, a po dwóch tygodniach spakowali nas do karetki i zawieźli do Gołdapi. Ale ja straciłam przytomność w tej podróży. Jakoś chyba dotarłam do tej Gołdapi, ale tak naprawdę to już pamiętam moment, kiedy oprzytomniałam w szpitalu w Gołdapi.

## **Czyli puścili Panią do Gołdapi jako osobę niezaleczoną?**

Tak, ale dlaczego oni nas wtedy tak zerwali z tych łóżek? Bo nas zaczął szukać Międzynarodowy Czerwony Krzyż i oni kłamali temu Krzyżowi, że jesteśmy w poliklinice w Olsztynie. Nikomu nie przychodziło do głowy, że można kobiety zawieźć do męskiego więzienia w Barczewie. I przypuszczam, że byli bardzo zmieszani, kiedy ten Czerwony Krzyż powiedział, że oni w takim razie lecą do tej polikliniki, żeby nas odwiedzić. Mówili: „Nie ma takiego powodu, bo panie są już zdrowe, właśnie jadą dzisiaj niespodziewanie.”. Już zdrowiutkie jak rybki i jakoś nas tam dowieźli. Zarówno ja, jak i ta druga pani, trafiłyśmy do szpitala w Gołdapi. No i tak to trwało jeszcze następne dwa miesiące, aż 13 marca wróciłam do domu po interwencjach Czerwonego Krzyża, biskupa gorzowskiego Pluty i adwokata gorzowskiego, który pisał aż do pani marszałek Skibniewskiej jakieś zażalenie na internowanie człowieka po wypadku. De facto ja byłam w szpitalu.

## **Czyli jako powód zwolnienia z internowania było...**

Zdrowie i to, że w zasadzie nikt mi nie dał żadnych szans na normalne leczenie. I jak wróciłam, zaczęło się ujawniać, bo najpierw to wszyscy mówili, że to minie, że się wszystko zagoi, że to trzeba spokoju. Im dłużej czas mijał, to ja widziałam, że jest coś gorzej.

## **Ale jak to się objawiało?**

Ja przestałam widzieć. Coraz gorzej widziałam. Oni mi mówią, że będzie coraz lepiej, a ja [się czuję] coraz gorzej. Okazało się, że tam rzeczywiście były jakieś obrażenia części potylicznej i to później wyszło w różnych badaniach, i że być może nie można było wtedy w żaden sposób [tego] leczyć. Ja nie wiem. Ja straciłam szansę. W momencie jak już doszliśmy do tego, co się tak naprawdę stało, to już nic nie można było zrobić. W Gorzowie próbowaliśmy coś wyjaśnić, ale to się nie udawało. W końcu

pojechałam do szpitala do Warszawy na oddział neurologii i tam powoli, powoli drogą eliminacji pewnych podejrzeń doszli, że jednak jest uszkodzenie tej części potylicznej, czyli tej części końcówki drogi wzrokowej. Bo wiadomo: człowiek nie widzi samymi oczami, ale obraz przetwarza się także w mózgu. Do tego jeszcze usiłowała mi pomóc m.in. pani prof. Zofia Kuratowska. [Również] Halina Mikołajska. Pojechałam do Francji w 85 roku. I tam w zasadzie, można powiedzieć, że coś się udało uratować, bo tu w Polsce w badaniach nie wychodziło, że z siatkówką się dzieje coś złego, a tam jednak mieli nowoczesną aparaturę i miałam operację w Paryżu. Uratowano mi te siatkówki, tak że to, co dociera do moich oczu, to dociera. Coś widzę. Natomiast nie widzę normalnie. Mam pierwszą grupę inwalidzką od tego czasu.

### **Ale dostała Pani pierwszą grupę inwalidzką od razu po internowaniu?**

Nie, jakiś czas później, jak się już okazało co się tak naprawdę stało. Bo to dojście do renty, to też był...

### **Tak sobie wyobrażam...**

Usiłowano mi wmówić, że ja sobie sama wszystko wymyśliłam, że nie było żadnego wypadku, a ja widzę doskonale. Nie było żadnego wypadku. I tak by zostało, gdyby nie pani Grażyna Went, lekarka, która była w Komisji Krajowej. W momencie jak ja się pojawiłam w Gołdapi, razem z panią Marią Dmochowską, ona była lekarzem sądowym, one napisały taką obdukcję. I w zasadzie ten dokument to jest jedyny dokument, z którego w ogóle wynika, że coś się stało, bo ja nie dostałam żadnych dokumentów z tego szpitala więziennego. Tak jak by mnie tam nie było. To był jedyny dokument stwierdzający, że był wypadek, że coś się stało, i że mój stan po dwóch tygodniach, po powrocie z tego szpitala w Barczewie, był niedobry. Ale w jak końcu dostałam te wyniki badań z kliniki w Warszawie, no to już tutaj nie dyskutowano z tymi wynikami. Po prostu dostałam pierwszą grupę. Mam ją do dzisiaj.

### **To było w 83 roku?**

Nie, później 84, 85. To trwało. Wyobraża Pan sobie moją sytuację?

### **Prawdopodobnie cały czas się pogarszało zdrowie.**

Pogarszało się. Ja po prostu nie wiedziałam czego mam się chwycić, kto mi może gdzieś pomóc.

### **Czy doświadczyła Pani jakiejś pomocy ze strony ludzi, (np. lekarzy)?**

Tak, ze strony właśnie, jak mówię, pani prof. Zofii Kuratowskiej. A właściwie całą historię nakręcała Halina Mikołajska, bo ona jakoś tak strasznie się tym przejęła. Myśmy się bardzo przyjaźniły, zresztą do jej śmierci. I Solidarność usiłowała mi pomóc i pomogła, bo jednak te siatkówki zostały uratowane. I sfinansowali mi pobyt w Paryżu-raz, drugi. Tak że muszę powiedzieć, że to że w ogóle patrzę własnymi oczami, to zawdzięczam Solidarności, nikomu innemu. Jeszcze pani doktor Edelmanowa, pierwsza żona Marka Edelmana, też mi usiłowała pomóc w Paryżu. I ona też się w tym



Paryżu przyłożyła. To środowisko mi usiłowało pomóc i pomogło, bo tak to by mnie chyba do zakładu psychiatrycznego zamknęli. O to im głównie chodziło, żeby zrobić nas na jakichś niedorozwiniętych i głupkowatych, zwariowanych. Trochę mnie uratowali. To nie zmieniało faktu, że we mnie ta chęć walki z komuną wcale nie wygasła w związku z jakimiś problemami zdrowotnymi, bo ja wróciłam i zanim jeszcze się tu stworzyło RKW [Regionalna Komisja Wykonawcza], [to] już wiedziałam, że się tworzy, i że będzie pismo podziemne. No i czy bym ja ewentualnie...? No ja mówię, że ja bym, no bo właściwie czemu nie. I [to] była bardzo trafna decyzja, bo jak ja bym się nie zdecydowała na tę współpracę, to bezpieka i tak by tu bez przerwy siedziała. Bo z kolei oni nie wyobrażali sobie, że mogą zaniechać [działalności]. Nie mieli pomysłu na kogoś innego. Tak z tych różnych pisarzy tutejszych nie wychodziło im, że by ktoś miał taką wenę. Zawsze wypadało na mnie i zresztą trafnie. Nawet trafnie rozpoznawali, ale ja podpisywałam [się] pseudonimem. Oni rozpoznawali te moje teksty, ale jak to udowodni, że to ja napisałam? No nie sposób, prawda?

### **Jakie to były pseudonimy?**

Ano różne, a to „Redaktor pierwszy”, a [to] „Dziesiąty”, a [to] „Mrówka”, a [to] „Biedrona”. Po prostu co tekst, to jakiś inny wymyślałam.

### **Czyli w zasadzie Pani kontynuowała działalność opozycyjną?**

Od razu, od pierwszego numeru tego Feniksa.

### **Czyli powstał Feniks?**

Tak, to było nasze główne pismo wydawane przez Regionalną Komisję Wykonawczą, i wychodzi do dzisiaj.

### **Kto był w składzie redakcji poza Panią?**

Był jeszcze Rafał Zapadka, Wojtek Szczepanowski (on wcześniej współpracował) i ci dawni koledzy z redakcji: Jurek Klincewicz (później wyjechał); całe to towarzystwo, [które] ewentualnie umiało pisać czy chciało pisać. Pisali i nie było kłopotu z zamieszczaniem [ich tekstów].

### **Feniks wychodził regularnie?**

Wychodził regularnie. Do maja wydaliśmy 193 numery, najpierw jako tygodnik, później dwutygodnik, raz częściej raz rzadziej, ale nie rzadziej jak dwa tygodnie. Jeżeli chodzi o format, [to] raz był większy, raz był mniejszy. Raz był [drukowany] na powielaczu, raz na ramce, w zależności od ilości wpadek, [od tego] ile tych powielaczy nam zabrano, a ile myśmy zdążyli ukraść, czy sprowadzić. Ale nigdy nie przestał wychodzić. Było tak, że dwie drukarnie jednocześnie wpadły, a Feniks i tak wyszedł. Nie było na nas sposobu. To była największa klęska ubecji, bo nigdy nie stało się tak, że oni nas złapali. Oni potrafili posadzić wszystkich, 50 osób kiedyś posadzili, [a] Feniks wyszedł.

### **Bezradni byli.**

Bezradni.

### **Czyli w zasadzie Feniks to była główna działalność gorzowskiej Solidarności w latach 80-tych? Można tak powiedzieć?**

Tak, ale Feniks był powodem niezliczonej ilości aresztowań, wpadek, procesów i takich różnych rzeczy. Więc co? Należało pomagać tym ludziom. No nie można było zostawić kogokolwiek, kto poszedł siedzieć. I co? Rodzina bez środków do życia? To byśmy już po roku nie mieli żadnych współpracowników. Zorganizowaliśmy to idealnie. Z jednej strony powstał ten Prymasowski Komitet, z drugiej strony powstały diecezjalne komitety, które współpracowały z tym Komitetem Prymasowskim, z trzeciej strony te diecezjalne komitety współpracowały z podziemiem. Czyli przepływ informacji był we wszystkie strony. Była pomoc, która dochodziła bezpośrednio do Gorzowa, głównie z Francji, ale gdybyśmy nie mieli tej własnej pomocy z Francji, to byśmy ją dostali z Komitetu Prymasowskiego. To była pomoc materialna i moralna przede wszystkim, (no bo jak człowiek nie jest sam, to wie co robi) i także medyczna. Tutaj mieliśmy parę osób, które trzeba było wywieźć na leczenie do jakichś porządniejszych ośrodków, m.in. ja pojechałam do tej Francji na operacje oczu.

### **Czy to była również pomoc prawna w wypadku jakichś procesów?**

Myśmy sobie tutaj sami załatwiali [taką pomoc]. Byliśmy w stanie [to zrobić] we własnym zakresie, bo tak się stało, że dwóch wybitnych adwokatów gorzowskich było w redakcji „Solidarności Gorzowskiej”. I ponieważ oni nie byli członkami Solidarności jako adwokaci, to nie można ich było zamknąć za kontynuowanie [działalności opozycyjnej], ale oni [ją] kontynuowali w tym sensie, że bronili naszych we wszystkich procesach, zjednując pozostałą część tego środowiska adwokackiego, bo jednak myśmy mieli procesów mnóstwo. Ja na liście osób, które zostały skazane mam 300 osób, skazane bądź długo siedziały w śledztwie. Bo niekiedy amnestia powodowała, że śledztwo zostało zakończone, a ludzi trzeba było puścić. Ale oni siedzieli. Ich rodziny zostały bez środków do życia, a oni bez pracy. I myśmy to zrobili z taką inwencją, że ledwie bezpieczna wyszła z domu, to myśmy już tam byli. Nikt do nas nie przychodził po pomoc, bo uważaliśmy, że to jest upokarzające dla człowieka. Nie dość że się naraża, robi, to jeszcze ta rodzina ma się gdzieś błąkać i prosić o jakąś pomoc? Nie! Myśmy pędzili tam czym prędzej, żeby dowiedzieć się jaka jest sytuacja, gdzie ten człowiek pracuje (to zazwyczaj wiedzieliśmy- dobrze znaliśmy tych ludzi), co w rodzinie się dzieje, czy nie potrzeba właśnie jakiejś pomocy medycznej. Zdarzało się, że np. żona jednego z aresztowanych po wypadkach w sierpniu 82 zachorowała psychicznie. Trzeba było tam iść i pomóc opanować sytuację! To dla niektórych ludzi był cios z nie z tej ziemi.

### **I to była, jak rozumiem, prawdziwa solidarność?**

Tak. I czuliśmy się zobowiązani do tego, żeby nie spuszczać z oczu tych ludzi, którzy są po aresztach, po więzieniach, żeby po prostu nie przepłacili tego jeszcze jakąś gorszą biedą czy nieszczęściem. No i udawało się. Żeśmy także wyciągnęli parę osób z więzienia z powodów zdrowotnych. To się niekiedy udawało. Ale straciliśmy naszego przewodniczącego, Edwarda Borowskiego. On chorował na serce i raz, drugi musiał

brać leki, a oni mu w więzieniu odmawiali tych leków i pośrednio przyspieszyli [jego śmierć]. Czytałam w IPN jego akta, gdzie on wprost pisze do naczelnika więzienia, żeby go położyli na oddział, że on się źle czuje, że on musi mieć leki, że mu tych leków nie dają. Ale naczelnik wydziału śledczego, niejaki pan Witold Staszewski, napisał do lekarza więziennego, że ma mu przysłać zaświadczenie, że pan Borowski jest zdrowy, i że się nadaje do siedzenia w zwykłych warunkach. Dokładnie napisał jakiej treści pisma on oczekuje od lekarza więziennego. Dziwię się lekarzowi, dziwię się po prostu. Lekarz to jest taki zawód, który nie wymaga ustępstw wtedy, kiedy chodzi o zdrowie człowieka. No i niestety w 87 [roku] Edward [Borowski] umarł na serce.

### **Czy Panią spotkało też jakieś aresztowanie?**

Wielokrotnie. Mam stos tych różnych postanowień o przeszukaniu. Zabierali mnie na jakieś przesłuchania, tam usiłowali się czegoś dowiedzieć, ale to z góry było skazane na porażkę. Muszę powiedzieć, że ja jakby zamknęłam ubecji drogę do redakcji, bo ode mnie niczego się nie można było dowiedzieć, jeżeli chodzi o osoby pracujące w redakcji i konstruujące to pismo. Tych przesłuchań miałam mnóstwo, a i moi sąsiedzi też. Też ich przeszukiwano. Przeszukiwano piwnicę u pani Marii, przeszukano także piwnicę u innych sąsiadów, w mojej rodzinie też, w domu u nieżyjącego już brata. Brat, 18 lat starszy ode mnie, należał do PZPR, ale mimo wszystko pojechali, zwiedzili jego dom. Oczywiście w sprawach politycznych ześmy nie współpracowali ze sobą. U siostry było ogromne przeszukanie. Nawet ją zatrzymali na 48 [godzin], sądząc że ma coś z tym wspólnego. I miała - dlaczego by nie? Ale oczywiście musieli ją wypuścić.

### **Ale nie zdołali Pani posadzić w więzieniu?**

Nie, były przesłuchania. Nieraz mnie gdzieś wywieźli, np. do Myśliborza do jakiegoś aresztu zamknęli. Później wypuścili. To było o tyle bezpieczne, że naprawdę trudno było o jakiegokolwiek ślady mojej działalności, bo w momencie jak ja oddałam tekst, to już go nie miałam. Pisałam na ogół na maszynie. Gdyby ten tekst pisany na maszynie wpadł i analiza porównawcza kroju czcionki maszyny z tym tekstem dowiodła bezspornie, że to jest [pisane] na pewno na tej maszynie, to może by coś było, ale jak bezpieka włąziła mi do domu, a ja miałam tekst, no to go po prostu paliłam w łazience w bojlerze. No przecież tego tekstu nie pisze się na wielkim arkuszu grubego papieru, tylko na cienkiej bibułce. To był moment. Zanim otworzyłam drzwi, to tekstu już po prostu nie było. I to było naprawdę trudne- namierzyć [mnie] na takiej działalności. Mało tego: kontakty z ludźmi Solidarności też nie mogły być w jakiś sposób bardzo podejrzane, bo przecież myśmy się znali sprzed stanu wojennego, a to nie byli inni ludzie, tylko ci sami. Te więzi się zacieśniły także przez internowanie. Jak się siedziało z kimś w więzieniu, to obowiązuje przyjaźń do końca życia, szczególnie jak wszyscy byliśmy w jakiejś opresji, to trudno się było dziwić. I ta bezpieka to tak naprawdę nie wiedziała dokładnie kto, co, dlaczego. No najlepszy dowód, że nigdy do tego Rafała [Zapadki], do tej redakcji nie trafili.

**To jednak było życie cały czas pod jakąś presją, prawda? Bo pewnie Pani cały czas była pod jakimś nadzorem, obserwowana...**

No tak, przede wszystkim miałam sąsiadów, którzy mieli nieograniczone możliwości zaglądania tutaj. Na pewno był podsłuch, bo w pewnym momencie już dostałam telefon i przynajmniej jedną taką sytuację znam. Przypuszczam, że ten podsłuch był niekoniecznie może w telefonie, ale w tamtym pokoju. Jak mama żyła rezydowała raczej tu, a ja tam. Tam było takie moje miejsce pracy. Tam prawdopodobnie [był podsłuch], bo przeciekła rozmowa prowadzona nie przeze mnie, [ale] przez dwie inne osoby, które były ściśle zamknięte w tamtym pokoju. Na telefonie leżała poduszka. Wszystkie drzwi pozamykane. Ja byłam tutaj, więc nie było innej możliwości tylko albo podsłuch z zewnątrz (widzieli, że te osoby szły do mnie) albo też miałam coś w pokoju. Sprzątałam, szukałam, ale oni lepiej wiedzieli jak to zamontować, żebym ja nie wiedziała. I ta rozmowa przeciekła. Jedna z osób, które tu były i rozmawiały, dowiedziała się o treści tej rozmowy od bezpieki w czasie przesłuchania. Być może, że oni kombinowali, że to mnie postawi w nieciekawym świetle, ale ci, którzy rozmawiali, wiedzieli jak to było. Wiedzieli, że ja tego nie mogłam słyszeć. Stąd wnoszę, że jakiś podsłuch był w mieszkaniu. Ale też ja nigdy nie robiłam ani nie mówiłam niczego takiego, czego bym się mogła wstydzić, a to co się mówi, żeby nikt nie wiedział, to także z podsłuchu się nie wysłucha. Krótka piłka. W każdym razie przesiadywałam tam, różnych łapanek przeżyłam, zatrzymań, rewizji i muszę [przyznać], że to na mnie może takiego wrażenia nie robiło, (choć nie mogę powiedzieć, że z przyjemnością na nie czekałam) ale wprawiało to w rozpacz moją mamę. Była już jednak wiekowa. Zmarła w 89 roku. Później radio. Radio to też osobny rozdział. Ja w tym radiu niewiele miałam do zrobienia, nieraz pisałam jakieś teksty audycji, to wszystko. Natomiast -ponieważ oni nigdy nic nie umieli ustalić tak jakoś niezależnie, tylko zawsze im przychodziło do głowy, że to ja broję- no więc któregoś dnia napisał jeden z dziennikarzy w partyjnej gazecie, że oczywiście ja odpowiadam za Radio Solidarność i jak [radio] się odezwie, to mają dzwonić do mnie. I tu podał prywatny numer telefonu. To był 88 rok i się zaczęło. Dzień i noc [były] wredne telefony co oni ze mną zrobią i dlaczego. A to wszystko towarzyszyło ciężkiej chorobie mojej mamy. W końcu umarła. Nie mogłam wyłączyć tego telefonu, bo w końcu rodzina się dowiadywała. Jakiś kontakt z rodziną chciałam mieć, a jednocześnie odbierałam te wredne telefony.

### **Czyli w jakiś sposób przyspieszyli śmierć mamy?**

No na pewno. I dręczyli mnie wtedy strasznie- dzień i noc, niezależnie od tego zmartwienia jakie miałam i ze swoim zdrowiem i z mamy zdrowiem. Oczywiście do pracy już nie wróciłam. Straciłam zawód- tak można powiedzieć. Moje studia okazały się zupełnie bezużyteczne na dalszej drodze życia. Na szczęście wkroczyły w życie komputery i to mi bardzo pomaga, bo jednak na komputerze można sobie tak ten tekst powiększyć, tak zrobić, żeby coś napisać, a bez tego trudno by mi było. Pewnie że pisałam [też] na maszynie, to są umiejętności mechaniczne. Niezależnie od ilości literówek tekst jest do przeczytania i zrozumienia.

### **Czyli utrzymywała się Pani z...?**

Z renty. Ja dostałam [rentę] od razu, ale nie od razu pierwszej grupy. Bo tak było: po internowaniu wróciłam. Jeszcze leżałam w szpitalu w Poznaniu. Potem już byłam na

zwolnieniu pół roku, żeby rozwiązać umowę o pracę. I to był koniec 82 roku jak przeszłam na rentę inwalidzką, i tak już zostało.

**Czy pomimo tych cierpień i trudności związanych z tym okresem mogłaby Pani wskazać jakieś jego pozytywne cechy? Mam na myśli np. przyjaźnie, które trwają do dziś...?**

Rzeczywiście trudno jest to porównać do jakichkolwiek innych okoliczności, bo ten okres Solidarności, najpierw ten festiwal, później okres podziemia, to było jednorazowe wydarzenie w dziejach Polski i, jak przypuszczam świata. Nie można tego porównać do żadnego innego okresu. Nie ma żadnych analogii. [Tego typu] doświadczenia pokoleniowe mogły[mieć miejsce] być może po Powstaniu Styczniowym, kiedy też w ten sposób łączyły ich może jakieś więzi, [choć] na innej zasadzie. Zasady konspiracji wzięliśmy przecież od naszych przodków. Pamiętam jakim wzięciem cieszyła się książka Józefa Piłsudskiego „Bibuła”, gdzie [były] takie oczywistości, że nie należy przenosić bibuły w nocy jak wszystkie psy się zrywają z łańcuchów, tylko w biały dzień. [To] było niebywałym odkryciem. To był niezwykły okres takich właśnie więzi, takiej odpowiedzialności za drugiego człowieka. Jeżeli on robi i noga mu się podwinęła i on siedzi, to niezależnie [od tego] co myśmy wiedzieli w śledztwie, (bo byli też tacy, którzy na [sam] widok ubecji, to już sypali co wiedzieli i czego jeszcze nie wiedzieli), to była jedna sprawa jego osobistego zachowania, a druga sprawa to była jego rodzina, jego status materialny, jego życie, jego prawo do normalnego funkcjonowania. Bo ostatecznie nie można robić z [niego] ofiary, obarczać go odpowiedzialnością za jakieś zachowania, które w normalnym kraju po prostu nie występują. Można zamykać człowieka za to, że przeniósł gazetkę? Czy to jest w ogóle normalne? Za ulotkę, za gazetkę, zamykać człowieka w więzieniu? To jest zupełnie nie do pojęcia! Tak że niezależnie od tego, co ci ludzie mówili, robili w tych więzieniach, to oni byli zawsze ofiarami nieludzkiego, okropnego systemu. To jest dzisiaj nie do wyobrażenia.

**A jak Pani ocenia zmiany, jakie się dokonały po 89 roku?**

To jest inny świat. To w ogóle się nie daje porównać. Nie ma żadnych analogii do tamtego świata: zakłamanego więzienia.

**Czy jest Pani zadowolona z tego, co się dzisiaj dzieje, co się stało po 89? Czy trud się opłacił?**

To żeby Ojczyzna była wolnym krajem, a nie okupowanym, to chyba nie ma takiej ceny, której nie można w tym celu [zapłacić]. Jeżeli człowiek zdaje sobie z tego sprawę, że jesteśmy wolnym krajem bez wojsk okupacyjnych 20 km od Gorzowa, że nikt nas nie straszy, że na nas najedzie w 5 minut, i że czegoś nam nie wolno. Może Pan dzisiaj sobie kupić bilet do Paryża i pojechać, jak będą wolne miejsca. To już nawet nie chodzi o turystykę, tylko o wolność wymiany myśli, doświadczeń, o przepływ informacji, o przepływ myśli naukowej, o uczestniczenie w dziejach świata, o samodzielne podejmowanie decyzji. Mój osobisty los jest może nie najciekawszy, bo stało się jak się stało, a oprócz tego miałam jeszcze inne trudności w życiu, też zdrowotne. Gdybym cieszyła się dobrym zdrowiem, jak choćby moja bliźniacza siostra, to życie wyglądałoby

całkiem inaczej. Złożyło się, powiedziałabym kilka okoliczności na to, że jest tak jak jest. Ludzie, [którzy są] z takimi problemami zdrowotnymi, z jakimi ja byłam wtedy, dzisiaj już tych problemów nie mają, a przynajmniej mają szansę je rozwiązać w szybkim czasie. To nie musi kosztować kalectwo na całe życie. Tego się nie da porównać, to nie jest ten sam kraj. On ma tę samą nazwę i to samo miejsce w sercu, ale to nie jest ten sam kraj. A przyjaźnie? Wie Pan co, jak się spotka tych ludzi z tamtych czasów, no naprawdę to są takie więzi, nie umiem nawet tego nazwać. To są jakieś takie bardzo trwałe więzi oparte na czymś bardzo szczerym, prawdziwym, autentycznym. Być może byli ludzie, którzy kombinowali, chcieli zrobić jakiś użytek z tej swojej przeszłości, ale w Gorzowie mało takich było. Nie, raczej nie. Jedyne to właściwie ten Marcinkiewicz, który usiłował odrywać te jakieś kupony, ale mu nie wyszło. Bo rzeczywiście troszkę był zaangażowany w działalność podziemną, ale nie więcej jak inni. Na tle innych ludzi, w porównaniu z tą pracą jaką włożyli, to, mówiąc krótko, cienko by wypadł. Ale nie chodzi o to, żeby to ważyć. Każdy robił w tym czasie [to], co uważał za stosowne i ile mógł, i tu nie chodzi naprawdę o to, żeby to ważyć. Ja uważam, że dzisiaj [ważne są] jednakże nie kryteria przeszłości tylko przydatności do rządzenia, umiejętności rządzenia krajem. Do tego trzeba wytworzyć taką elitę. I nie w szkołkach partyjnych. Trzeba kształcić ludzi na wysokim poziomie na dobrych uniwersytetach. I wtedy będą mądrzy ludzie. Zresztą raz po raz widać, że są. A jak się losy Polski potoczyły po 89? Tak jak każdego człowieka. Dzień następny zależy nieraz od decyzji w dniu poprzednim. Można je było podejmować tak, można je było podejmować inaczej. Spiskowa teoria dziejów mnie nie dotyczy. Ja nie jestem w stanie wierzyć w takie historie, że ktoś tam coś tam. Po prostu nieraz się wydaje, że będzie dobrze, podejmie się jakąś decyzję, [a] to się obraca przeciwko. Nie byłam entuzjastką rządów pana Jarosława Kaczyńskiego. Dlaczego? Dlatego, że one były oparte na takiej nieszczerości, która w Solidarności nie powinna mieć miejsca. Oni byli razem z Lechem Wałęsą. Byli z nim i nie może być tak, że przyjaciele się odwracają od siebie w taki sposób, że gotowi by go zepchnąć, nie wiem, na jakieś czarne dno rozpaczy. Tak się po prostu nie robi. Etyka, moralność, to nie są pojęcia odłączone od polityki. One są dla wszystkich sytuacji życiowych. I tu uważam, że bardzo niedobrze się dzieje w momencie, kiedy ludzie zaczynają ze sobą walczyć; ludzie, którzy zawdzięczają dużo właśnie Solidarności, temu „razem”, temu co mówił papież, że jedni drugich... W jakimś okresie to rozumieli, a potem już nie? A może od razu było założenie, że wykorzystamy tego robotnika, wjedziemy na jego plecach, a później kopa, my doktorzy. Tyle razy podkreślane, że wychowywani na salonach mieszczańskich. A co to tam jakiś śmieć-robotnik? Ja dzisiaj to tak rozumiem. Ale muszę powiedzieć, że generalnie to jestem świadoma tego niezwykłego okresu, jaki udało mi się przeżyć. A przecież jeszcze nie można o tym zapominać, że w tym wszystkim ogromną rolę grał Jan Paweł II. Przecież to nie było bez niego.

**Czym się Pani teraz zajmuje? Czym się Pani zajmowała już po 89 roku?**

Cały czas jakimś pisarstwem.

**Po Feniksie jeszcze coś było?**

Były „Aspekty”. One powstały już w stanie wojennym jako pismo duszpasterstwa akademickiego, tzn. [robili je] ludzie dawniej związani z tym duszpasterstwem, trochę pod szyldem duszpasterstwa, z poinformowaniem ks. Andrzejewskiego i biskupa, żeby było jasne. I później jak po śmierci biskupa Pluty przyszedł biskup Michalik, to jemu się to bardzo spodobało, że taka grupa świeckich ludzi robi gazetę i zaproponował nam w 86, żeby przekształcić to podziemne w końcu pismo w legalne wydawnictwo diecezji gorzowskiej. I tak było. Przez jakiś czas ja tam byłam redaktorem naczelnym i to wychodziło, muszę powiedzieć, z dużym powodzeniem. Znowu sięgnęliśmy nakładu 12 a niekiedy i 20 tys. egzemplarzy, i to mi się bardzo udało. W tej redakcji był m.in. Marcinkiewicz. I powstała mi w redakcji partia. W 93 roku 5 osób z redakcji było w partii. Ja już tego nie byłam w stanie tolerować. Dokąd był [bp] Michalik, to oni się bardzo hamowali, ale jak [bp] Michalik odszedł, to już po prostu przekroczyli wszelkie granice. Widać było, że chcą zawłaszczyć to pismo katolickie. W pewnym momencie przestali się interesować w ogóle innym życiem politycznym, tylko ZChN. No przecież to było nie do pojęcia. Mówiąc krótko i wężłowato: partyjne pismo za pieniądze Kościoła. I ja po prostu odeszłam. Powiedziałam biskupowi, (zresztą to była taka praca wolontarystyczna) że „ja pracuję w Kościele, a nie w partii i nie mogę pracować mając cały komitet partyjny w redakcji. Nie mogę. Albo biskup podejmie jakąś decyzję, żeby to zmienić”- bo ja proponowałam, żeby ich odsunąć ze składu redakcji do współpracowników, ale widać mieli jakieś swoje argumenty. Ja odeszłam, a pismo padło, bo przecież co innego jest mówić, że się robi pismo, a co innego robić. Zostawiliśmy te ZChN-y same. Cała ta reszta odeszła ze mną razem- 10 osób.

### **Czy coś dalej robiliście? Powstało kolejne pismo?**

Nie, ja współpracowałam później z takim Wydawnictwem Społeczno-Kulturalnym „Trakt”, ale jego naczelna umarła 2 lata temu.

### **Czym się Pani zajmuje dzisiaj?**

Teraz współpracuję z redakcją Encyklopedii Solidarności i tam piszę jakieś hasła.

### **Czy zamierza się Pani ubiegać o jakieś odszkodowania jako osoba represjonowana?**

Jeszcze nie wiem, ale prawdę mówiąc moja sytuacja materialna jest trudna. Ja mam tysiąc z malutkim hakiem, nawet nie tysiąc sto złotych tej renty po takich przygodach. Nie wiem, z jednej strony wydawałoby się, że się nie wystawia rachunków, ale z drugiej strony spojrzeć choćby na tę ustawę kominową. Czym tamci ludzie sobie zapracowują na kilkusettyśięczne wynagrodzenia miesięczne? Czym? To nasze życie nie jest warte niczego? I dzisiaj musimy może niektórzy głodować? Chociaż tak by warto na to spojrzeć.

**Bardzo dziękuję za rozmowę.**

## WSPOMNIENIA GRAŻYNY PYTLAK NT. KOMITETU NA PIWNEJ

Diecezjalny Komitet Pomocy Osobom Represjonowanym w Gorzowie oficjalnie powstał w grudniu 82 roku. Wcześniej, zaraz w pierwszym okresie internowań i aresztowań rolę takiego komitetu pełniło duszpasterstwo akademickie. Ono się zajmowało rozwożeniem pomocy do rodzin i do osób represjonowanych. Później sprawa uległa sformalizowaniu i wzorem Prymasowskiego Komitetu na Pivnej powstały takie komitety diecezjalne. W Gorzowie ten komitet działał przy tzw. „białym kościele”- tam była nasza kwatera główna, a oprócz tego mieliśmy magazyny na ul. Brackiej u oblatów. Był taki niezapomniany ks. Sadownik, a w ”białym kościółku” był ks. Arkadiusz Cegiełka. Jak powstał nasz komitet, to należało się szybko skontaktować z Komitetem Prymasowskim i uzgodnić zasady współpracy. I taką osobą, która się kontaktowała z tym Komitetem byłam ja, a w okresach, kiedy z różnych powodów mnie nie było, to była pani Teresa Klimek. Pamiętam te swoje wizyty, bo jeździłam wtedy często do Warszawy w różnych sprawach, nie tylko związanych z Komitetem. Ale Komitet był dla mnie takim doskonałym alibi dla wyjazdów do Warszawy, bo to były komitety działające jawnie. A przy okazji załatwiano się mniej jawne sprawy. Tym bardziej, że na Pivnej można było spotkać każdego, kogo się chciało spotkać albo z kim się można było umówić. Muszę powiedzieć, że na mnie ten Komitet zrobił niesamowite wrażenie ze względu na liczbę osób znaczących i znanych, które tam działały, m.in. ze świata aktorskiego, świata kultury, muzyki. W innych okolicznościach nigdy bym tych ludzi nie była w stanie poznać, abstrahując od Haliny Mikołajskiej, którą znałam z internowania. Ona nie działała bezpośrednio w Komitecie, natomiast była zaprzyjaźniona ze wszystkimi w Komitecie. Pamiętam, [że] tam lepiej poznałam Anię Fedorowicz, która mi opowiedziała o początkach Pivnej, jak wybrała się do ks. Rektora Dembowskiego z propozycją, żeby stworzyć natychmiast taki komitet, nie tyle żeby pomagać tym gnębionym, co na złość komunie. I parę razy podkreślała, że ją interesował głównie ten dobroczynny odwet na komunie. Przy okazji Ani naturalnie poznałam jej męża Jacka, później jej córkę Joannę, która była w Paryżu. Akurat ta znajomość przeniosła się również na grunt francuski, kiedy potrzebowałam pomocy czy znajomych w Paryżu. Oni tam wtedy byli. My tu w Gorzowie staraliśmy się załatwiać wszystkie sprawy bytowe czy finansowe, ale były też różne potrzeby, które wykraczały poza nasze możliwości, m.in. dzieci, które miały jakieś dysfunkcje przewodu pokarmowego. Pamiętam, że wtedy z Pivnej dostawaliśmy jakieś specjalne odżywki do tych chorób, że bardzo często jechałam po lekarstwa, bo ludzie z Solidarności ciężko i poważnie chorowali po tych przejściach związanych z internowaniem czy z więzieniem. Tak że trzeba było niejednokrotnie załatwiać lekarstwa, a także konsultacje lekarskie. Tutaj niezastąpiona była Zofia Kuratowska, która kierowała tą pomocą medyczną i ona właśnie kontaktowała nas z klinikami, niekiedy z lekarzami. Było parę osób, które trzeba było przyjąć na porządne leczenie do Warszawy, bo tutaj lekarze zwyczajnie się bali. Jak wiedzieli, że to jest ktoś za kim chodzi bezpieczeństwo, to się po prostu niekiedy bali podjąć jakieś leczenie, które by może drożej kosztowało. Mieli jakieś tam swoje argumenty. W każdym razie pamiętam, że kilka takich miejsc w szpitalu się załatwiło, a nawet wyciągnęliśmy jednego pana, Waldka More z więzienia na przepustkę. On miał czynną chorobę wrzodową żołądka i umieściliśmy go w szpitalu w Warszawie. Była jeszcze taka pani Wolska, lekarz



radiolog, już nie pamiętam z którego szpitala. Było kilka takich osób, znakomitych lekarzy, którzy pracowali przy pomocy medycznej lub w aptece (to był osobny dział pomocy na Piwnej). Oczywiście był także dział „ubrania”. [Ubrania] już mniej [nas interesowały], bo mieliśmy swoje dostawy bezpośrednio do Gorzowa. Nieraz trzeba było jakieś dodatkowe pieniądze i to też dawało się załatwić na Piwnej. Tam takim najlepszym, kochanym duchem był oczywiście ks. Dembowski. On wszystko widział, wszystko słyszał, każdego poznawał. Ja nie wiem skąd on po latach poznawał człowieka. Pamiętam, [że] już po wielu latach się z nim spotkałam i doskonale kojarzył, wiedział kto, skąd, itd. Kilka osób pojechało też dzięki Komitetowi za granicę na leczenie, m.in. ja sama. Te kontakty i finansowanie zagranicznego leczenia, to był majstersztyk, bo pamiętam, że pieniądze na moje leczenie przyjechały z Ameryki przez Rzym, przez ks. Bonieckiego dotarły do pallotynów w Paryżu i na końcu trafiły do mnie. Tak że to była jakaś ogromna akcja skoordynowana między kontynentami. Najbardziej wzruszające były te panie aktorki jak np. pani Danuta Szaflarska, taka drobniutka, malutka, już nie młoda, w takim fartuchu domowym gdzieś pomiędzy tymi rzeczami krążyła, układała, pakowała. Pamiętam też panią Romę Szczepkowską. Wtedy aktorzy bojkotowali teatr i byli w ogromnych tarapatach finansowych. Pamiętam jak oni te szmatki, które do nas docierały z różnych stron świata potrafili przerabiać na jakieś piękne ubrania i po prostu mieć swój styl. Taką osobą, z którą byłam bardzo związana, także w sensie przyjaźni, była pani Krystyna Gryżewska, która niestety już nie żyje; osoba ogromnie przedsiębiorcza, z dużą fantazją. Po prostu nie było takich spraw, których by ona nie potrafiła załatwić i nie umiała znaleźć gdzieś jakiejś porady. Niestety zginęła podczas wycieczki w Australii. Zresztą przypadkiem się dowiedziałam o tym, że ona zginęła. W nadzwyczajny sposób [się o tym dowiedziałam]: wróciłam po wakacjach, wyciągnęłam ze stosu gazet jedną i w tej właśnie jednej było napisane, że Krystyna zginęła. Tak to wyglądało. Tam [na Piwnej] kręcił się w zasadzie cały ten świat. Można było spotkać tych wszystkich ludzi z opozycji: od Kuronia, Michnika i tych wszystkich po tych ludzi, którzy nieśli pomoc. Ale to się bardzo często mieszało. Osoby represjonowane same także były osobami, które pomagały, m.in. pamiętam panią Sadowską, mamę tego Przemyka. Pamiętam taką panią, której mąż był tłumaczem... Także pani Ossowska. Niezwykli, wspaniali ludzie znani z książek, ze scen, z filmów... nagle okazało się, że oni są tam wszyscy, że oni te paczki pakują, że oni wiedzą o ludziach, że są w stanie zrezygnować z własnej drogi, jakiejś tam kariery właśnie dla nas, dla Solidarności. Bo już chociażby ten bojkot dotyczący teatrów, to był przejaw solidarności, niezgody na stan wojenny. To było coś nadzwyczajnego. Szkoda że dzisiaj się już zapomniało o tym bojkocie.

### **Jak długo trwała ta współpraca między gorzowskim środowiskiem duszpasterstwa akademickiego i później diecezjalnego komitetu a Komitetem Prymasowskim?**

Od początku do końca. W zasadzie trudno mi nawet powiedzieć, w którym momencie [skończyła się ta współpraca]. Kiedy już zaniechano aresztowań, wtedy ta współpraca się zerwała, ale jeszcze wymienialiśmy jakieś notatki, jakieś ankiety się robiło, takie różne rzeczy.

## **A co środowisko gorzowskie dawało Komitetowi Prymasowskiemu? Zawoziliście jakieś informacje?**

Tak, informacje, wykazy, spisy, ankiety na temat różnego rodzaju represji czy trudności z otrzymaniem pracy.

## **Dzięki wam to trafiło do centrali?**

Tak. Mieliśmy też taką miłą historię, bo [ktoś] (już nawet nie pamiętam kto) dał Polsce karetki lekarskie. I jedna z tych karetek dzięki tym kontaktom naszym trafiła do Gorzowa. Po prostu Zosia Kuratowska skojarzyła, że gdzieś tam na tych kresach zachodnich też by się przydała i ta karetka tutaj przyjechała. I pamiętam, że w 88 roku władze musiały od nas tę karetkę odebrać. Była uroczystość przekazania tej karetki. Pojawiła się Solidarność ze swoimi napisami i skruszone władze polityczne, państwowe, które musiały przyjąć po tę karetkę, bo nie było innego wyjścia. Wtedy też przyjechała Zosia z mężem. Było bardzo uroczyście. Tą karetkę do dzisiaj widzę. Jeździ po Gorzowie. Już jest wysłużona. To był dobrej marki samochód i do dzisiaj jeszcze jeździ jako karetka przewozowa, ale wtedy to był hit. Wszyscy wyskakiwali na ulicę, żeby zobaczyć jaka ona jest piękna i jaka przy okazji głośna. Te wyjazdy do Warszawy spowodowały też, że poznałam ks. Popieluszkę, bo kontakty z tym księdzem też były na rzeczy. Środowisko z Piwnej kontaktowało się z księdzem i stawiało się całe na msze za Ojczyznę. Wiele razy byłam na tych mszach. Jeździłam tam specjalnie po to. Byłam też świadkiem wielkiego pobicia. Wszyscy byliśmy w jednym mieszkaniu, [do którego] po jednej mszy mieliśmy zejść, ale nie wszyscy [dotarli tam] cali, niektórzy pobici. I różne takie dramatyczne historie pamiętam. A jednocześnie dużo dobrego humoru, świetnego żartu, lekkiego tonu, takiej pewności, że 150% racji jest po naszej stronie, i że z nami po prostu nie da się wygrać. Było widać jak te wszystkie sznureczki z różnych stron kraju, [ci wszyscy] ludzie pojawiali się w tym Komitecie. To był taki punkt centralny, który zbierał te informacje i wiadomo było, jaki to jest jednak ogromny ruch. Bo łatwo było zatomizować Solidarność, przerwać jej połączenia, kontakty, żeby ci z Gorzowa nie wiedzieli, co się dzieje w Bielsku-Białej, a dzięki temu Komitetowi wiedzieliśmy, bo tam łatwo było wymienić informację, łatwo było dostać jakieś inne gazetki, jakieś wiadomości, kogoś poznać, odnowić znajomość. Ja pamiętam taki moment, kiedy się spotkałam na ulicy w Warszawie z Kropiwnickim, a znaliśmy się jeszcze ze Zjazdu Solidarności. Jaka to była radość z tego, że jesteśmy, że działamy, że coś robimy. Wtedy jeszcze nikt nie myślał o jakichś podziałach politycznych, to w ogóle było nie do pojęcia. Pamiętam jak mi dziewczyny opowiadały jak nosiły jedzenie do ojca Adama Michnika. Pamiętam też, [że] jakieś historie sercowe się tam rozgrywały, takie bym powiedziała nieoficjalne. Piwna była miejscem do różnego rodzaju życiowych sytuacji. To było jedno z najpiękniejszych miejsc. Jednocześnie tam działał też ks. Dembowski. Prowadził Odnówę w Duchu Świętym. Ludzie z tej Odnowy też się tam kręcili i w jakiś sposób omawiali różne ważne ludzkie sprawy, czy modlili się, czy mogli coś pomóc, bo ks. Dembowski wiedział, jakie są potrzeby i kto komu kiedy może pomóc. To było takie piękne miejsce i myślę, że to jest warte jakiejś dużej, mądrej książki, bo tylu tam mądrych ludzi było, że aż szkoda żeby nie skorzystać z tych ich

doświadczeń. Nie umiałabym dzisiaj wymienić tych wszystkich ludzi. Ja ich mam w oczach. Jacek Sierakowski, krytyk teatralny, też tam siedział przy jakiś kartotekach. Co on tam miał do zrobienia to nie wiem, ale że był i pracował, to pamiętam. Przyjeżdżał tutaj zresztą na jakieś premiery naszego teatru jako krytyk, a w Warszawie go spotykałam jako pracownika Komitetu Prymasowskiego. Różne były te więzi, które tworzyły Solidarność, a to była jedna z ważniejszych, ponieważ ona dawała legalne podstawy do działania. Tutaj już bezpieka była bezsilna, bo działalność charytatywna Kościoła jest wpisana w istotę Kościoła. I tutaj nic się nie dało zrobić. Musieliśmy uważać. Ja pamiętam, że nie zdarzyło mi się, żebym jeżdżąc i wożąc jakieś pieniądze, czy żywność, czy leki do ludzi, żebym jednocześnie przy sobie miała jakieś materiały wskazujące na działalność w podziemiu. To się po prostu nie zdarzało. To już jakaś lojalność obowiązywała, żeby nie mieszać duchownych w sprawy, które może ich nawet nie dotyczyły, były nasze. Tam gdzie oni to firmowali, nam pomagali, to było legalne i oficjalne, a do innych spraw myśmy nawet nie byli w stanie ich mieszać, bo się uważało. Pamiętam jedną taką historię, że jedna z pań, która poszła na współpracę z bezpieką usiłowała, być może namówiona przez bezpiekę, zmontować mi taką sprawę, że ja ją namawiałam na fałszywe zeznania, czyli przepytalam ją z pobytu na bezpiece, a następnie powiedziałam jej co ona ma mówić i robić, żeby uniknąć odpowiedzialności. No ale tutaj bezpieka nie miała orientacji jaka jest u nas struktura, i że ja takich porad nie byłam w stanie udzielać, bo od tego mieliśmy radcę prawnego, żeby udzielał porad prawnych, a on z kolei nie udzielał porad, które byłyby z naruszeniem kodeksu. No więc taka prowokacja po prostu się nie udała. Ta pani rzeczywiście przyszła i nachalnie usiłowała mi coś opowiedzieć, żeby jakoś uwiarygodnić te swoje zeznania, które później po latach czytałam, ale to się jakoś nie trzymało i udało się, że nie wyszła z tego żadna sprawa. Ale też pamiętam taką historię jak jechałam właśnie z Piwnej i miałam coś przekazać czy powiedzieć Pałubickiemu i dochodzę do jego mieszkania [w Poznaniu], a tam samochód bezpieki z Gorzowa. Pamiętam, że wtedy wiozłam ze sobą jakieś materiały poligraficzne, i że zostawiłam je wtedy w przechowalni. Jak poszłam do Pałubickiego i zobaczyłam, że jest ten samochód z Gorzowa, to już nie odbierałam broń Boże nic z tej przechowalni. Ukryłam ten kwit gdzieś w jakiejś mysiej dziurze, pojechałam do domu i nazajutrz wróciłam. Odebrałam te rzeczy, ale już nikt nie podejrzewał, że ja tej samej nocy będę wracała. Tak że trzeba było po prostu uważać. Uważać co się robi, z kim się robi i mieć oczy jakby naokoło głowy, mimo że się słabo widzi. Ale muszę powiedzieć, że był taki okres, że [już] po silniku poznawaliśmy te ubeckie wołgi, a oni chodzili w taki sposób, że nie sposób ich było nie rozpoznać. Był jakiś taki siódmy zmysł, że ubeka człowiek rozpoznał. To się wyrabia coś takiego, że człowiek widzi, czuje, że ma kogoś za plecami i kto to ewentualnie może być. Ale ten Komitet na pewno spełnił swoją rolę. Na pewno też w wielu innych wymiarach, o których ja nie wiem, bo przecież to były też kontakty zagraniczne, to była cała ta pomoc, która sływała do tej Polski, i którą było widać, bo tam nieustannie przyjeżdżały te transporty. Ktoś to załatwiał, ktoś za tym jeździł, ktoś rozmawiał. Bez Kościoła raczej byłoby to niemożliwe. Tak że tu w Gorzowie dużo, bardzo dużo zawdzięczamy temu Komitetowi.